

Prolog | *Droga Kacelnika*

W początkach 1987 roku zadzwoniłem do pisarza Jechiela Dinura z pytaniem, co sądzi o toczącym się wówczas w Jerozolimie procesie Iwana Demianiuka, Ukraińca wydanego Izraelowi przez Stany Zjednoczone. Demianiukowi postawiono zarzut udziału w zamordowaniu 870 tysięcy osób, głównie Żydów, w obozie śmierci w Treblince. Dwadzieścia sześć lat wcześniej Dinur był jednym ze świadków oskarżenia w procesie Eichmanna. Zduszony, cichy głos, który usłyszałem w słuchawce, natychmiast przypominał mi jego zeznania o tym, co przeżył w Auschwitz. Nie sposób było go nie rozpoznać – głosu człowieka z innej planety – ani zapomnieć tych kilku zdań, które zdołał wypowiedzieć w sądzie:

Byłem tam jakieś dwa lata. Czas biegł tam inaczej niż tu na ziemi. Każdy ułamek sekundy biegł w innym cyklu czasowym. A mieszkańcy tej planety nie mieli imion. Nie mieli ani rodziców, ani dzieci. Nie ubierali się tak jak my tutaj. Nie urodzili się tam i nikt tam nikogo nie rodził. Nawet ich oddychanie regulowały prawa innego rodzaju. Ani nie żyli, ani nie umierali zgodnie z prawami tego świata. Zamiast imion mieli numery [...]. Zostawili mnie, cały czas mnie zostawiali, zostawili [...], przez niemal dwa lata mnie zostawiali, zawsze mnie zostawiali za sobą [...]. Widzę ich, patrzą na mnie, widzę ich [...].

Przemawiał pustym głosem, z żarliwością proroka, nie zwracając uwagi na otoczenie; „jak gdyby czytał z książki” – napisał Chaim Guri, który był sprawozdawcą na procesie. Coś w głosie Dinura i tonie tego, o czym mówił, sprawiło, że zapanowała nieznośnie napięta atmosfera. Prokurator i sędzia starali się go skłonić, by powrócił do tematu. Świadek zachwiał się i zemdlął, niemal teatralnie osuwając się na podłogę. Cały Izrael wstrzymał oddech. Była to najbardziej dramatyczna chwila procesu, jedna z najbardziej dramatycznych w historii kraju. Do dziś często jest przypominana w radiu i telewizji.

W czasie procesu Dinur miał czterdzieści pięć lat. Urodził się jako Jechiel Feiner, dorastał w gospodarstwie dziadka w Polsce, uczył się w Jesziwat Chachmej Lublin, był muzykiem, pisarzem i poetą. „Pierwszy raz pojawił się w redakcji jeszcze jako młody chłopiec, uczeń jesziwy – wspominał redaktor jednej z gazet wychodzących przed wojną w Polsce w języku jidysz. – Przyniósł plik rękopisów. Z jakiegoś powodu ten młodzieniec z długimi pejsami i rozmarzonymi oczyma zwrócił moją uwagę. Tego wieczoru przeczytałem jedno z opowiadań i wiersz. Byłem oczarowany jego zdolnościami, jego talentem. Jego utwory ukazały się najpierw w mojej gazecie”.

Po Auschwitz Dinur robił, co mógł, by skazać swe wczesne prace na zapomnienie – posuwał się nawet do osobistego ich usuwania z bibliotek. Odrzucił także swoje oryginalne nazwisko. Auschwitz, które pozbawiło go rodziny, pozbawiło go także tożsamości, pozostawiając jedynie więźnia. Zaczął pisać o Zagładzie wkrótce po wyzwoleniu, gdy dochodził do siebie w brytyjskim obozie wojskowym koło Neapolu. Czuł, że jego koniec się zbliża; być może nie zdąży ze wszystkim, ale złożył zmarłym przysięgę, że będzie ich głosem, że zapisze ich historię. Czterdzieści lat później, w latach osiemdziesiątych, wspominał: „Usiadłem, by pisać, i przez dwa i pół tygodnia niemal nie ruszałem się z miejsca. Dałem rękopis jakiemuś żołnierzowi, by go wysłał do Palestyny. Żołnierz przeczytał na pierwszej stronie tytuł *Salamandra*, pochylił się i szepnął: «Zapomniał pan napisać nazwiska autora». Wykrzyknąłem: «Nazwiska autora?! Tę książkę napisali ci, którzy poszli do krematoriów! Napisz ich nazwisko: Kacetnik»”.

Słowo to pochodzi od niemieckiego akronimu KZ – Konzentrationslager – obóz koncentracyjny. O więźniach mówiono „kacetnicy” i identyfikowano po numerach. Dinur był kacetnikiem 135633 i tak właśnie podpisywał swoje utwory. Jak wielu ówczesnych Izraelczyków, zmienił także pierwotne nazwisko i nazwał się Dinur, czyli „z ognia”.

Salamandra była pierwszą książką o Zagładzie opublikowaną w Izraelu. Później Kacetnik wydał także *Dom lalek*, *Pipel* i *Feniksa nad Galileą*. Razem składają się na *Kronikę żydowskiej rodziny w XX wieku* – jedną autobiograficzną powieść. I tu, i w innych książkach Kacetnik pisał o codziennym życiu w Auschwitz, z przerażającymi szczegółami opisując sadystyczne czyny, w tym seksualne maltretowanie dziewcząt i chłopców.

Wybrałem jego numer drżącą ręką. Byłem chłopcem, gdy po raz pierwszy natrafiłem na *Pipel*. Od tamtej pory nic, co czytałem o Zagładzie, nie wywarło na mnie równie potężnego wrażenia. Przeglądając tę książkę po latach, stwierdziłem, że jest w niej sporo kiczu i pornografii, należę jednak do tego pokolenia Izraelczyków, które w wieku lat kilkunastu wyrobiło sobie obraz Zagłady na podstawie lektury książek Kacetnika. Niewielu z nas wiedziało, kim on jest. Po raz pierwszy poproszono o wyjawienie, że to on

jest Kacelnikiem, dopiero na procesie Eichmanna. Dlatego właśnie zemdłał – powiedział mi. W ciągu dwudziestu sześciu lat, jakie upłynęły od tamtego czasu, zrobił wszystko, by wymazać związek między Kacelnikiem a Dinurem. Jego książki przetłumaczono na wiele języków, ale zabronił wydawcom zamieszczać swoje zdjęcie. Otrzymywał listy od czytelników z całego świata, ale odrzucał wszelkie prośby o wywiady i nigdy nie występował publicznie.

Trudno jednak było uniknąć sławy. Prezydent Izraela co dwa lata przyznaje nagrodę imienia Kacelnika. Nagrodę ufundował człowiek, którego syn narkoman otrzeźwiał po przeczytaniu książek Kacelnika i wyzwolił się z nalogu; wdzięczny ojciec ustanowił nagrodę za książki o Zagładzie. Dinur nie uczestniczył jednak w ceremonii przyznania nagrody. Raz omal do tego nie doszło, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i wrócił do domu; nie potrafił się zmusić do publicznego wystąpienia i obawiał się, że jego obecność w pałacu prezydenckim zostanie błędnie zinterpretowana jako szukanie poklasku. „Idąc do taksówki, która miała mnie zawieźć do Jerozolimy – napisał do prezydenta – zatrzymałem się i z ciężkim sercem wróciłem do domu, w strachu, że będą mówić o Kacelniku i mnie zobaczą: jak mógłbym spotkać wzrok tych, którzy mnie opuścili w Auschwitz, których spojrzenie nigdy mnie nie opuszcza?”

Gdy do niego telefonowałem, był już po siedemdziesiątce. Powiedział mi to samo, co innym dziennikarzom, zwracającym się do niego w tym okresie: że nie śledzi procesu Demianiuka i nie ma siły, by raz jeszcze przeżywać proces Eichmanna. Kilka miesięcy później dowiedziałem się, że napisał nową książkę, dotyczącą radykalnej terapii, której poddał się w Holandii, i ponownie do niego zadzwoniłem z prośbą o rozmowę. Dinur się wahał. W kolejnych tygodniach zawarliśmy telefoniczną znajomość, prowadząc długie i dość dziwne rozmowy. Czasami to on do mnie dzwonił – raz czy dwa późno w nocy. Przemawiał z głębi burzy panującej w jego duszy, wygłaszał długie monologi, które rozumiałem tylko częściowo, a często mnie przerażały – wspomnienia horroru Auschwitz mieszały się z mistycznymi, apokaliptycznymi wizjami. Bywało, że dzwonił i milczał, trzymając słuchawkę. Pewnego wieczoru nagle mnie poinformował, że postanowił pokazać mi rękopis nowej książki.

Następnego dnia poszedłem do jego mieszkania w Tel Awiwie. Spotkaliśmy się także tydzień później. Te spotkania nie były wywiadami. „Nie jestem w stanie odpowiadać na pytania” – powiedział, a resztę wyjaśnił rękopis, który mi pokazał: „To trauma, która ma swoje źródło w pokoju tortur w katowickim gestapo”. Był torturowany podczas dochodzenia w sprawie odkrytej w getcie kryjówki z bronią. Opowiedział mi także, jak go wezwano do gabinetu komendanta gestapo w Katowicach, Alfreda Dreyera. Ktoś znajomy zdołał uzyskać dla niego paszport Hondurasu; przesłano mu go oficjalnymi kanałami, przez ambasadę szwajcarską w Berlinie i komendę gestapo w Katowicach. Dreyer nie bardzo wiedział, co zrobić z Żydem z getta, który

nagle stał się obywatelem obcego kraju. Podczas gdy się zastanawiał, do pokoju wszedł wyższy rangą oficer. Przejrzał dokumenty i bez słowa podarł na drobne kawałki. Gdy kawałki papieru powoli spływały do kosza na śmieci, Dinur miał wrażenie, że utracił paszport do życia. Później dowiedział się, że tym oficerem był Adolf Eichmann. Na sali sądowej w Jerozolimie próbował spojrzeć Eichmannowi wprost w oczy, ale zemdleł, zanim zdołał skupić na sobie jego uwagę.

Starałem się nie zadawać pytań. Słuchałem. Czasami jego wspomnienia były tak bolesne, że łzy płynęły mu z oczu; obawiałem się, by znów nie zemdleł. Kiedy indziej jak uprzejmy gospodarz uśmiechał się, a po chwili ponownie znajdował się w Auschwitz, pogrążony w męczącym milczeniu. Potem, równie nagle, wracał do mnie, do swego pokoju w Tel Awiwie, żartując – szybkie skoki z jednej planety na drugą. Było to wręcz groteskowe. Uprzedził mnie, że nie wolno mi ujawniać jego tożsamości, bo zostanie spalony, jak taśma filmowa pozostawiona na słońcu. A potem nagle zgodził się po raz pierwszy pozować fotografowi.

Manuskrypt, który mi dał, był zdumiewający: zawierał humanistyczne przesłanie i surowe ostrzeżenie, kalejdoskop wizji, które miał dziesięć lat wcześniej, gdy znalazł się pod opieką Jana Bastiaansa, dyrektora Centrum Urazów Wojennych w Lejdzie w Holandii. Bastiaans specjalizował się w leczeniu pacjentów cierpiących na, jak to nazywał, „syndrom obozu koncentracyjnego (KZ)” – traumę pourazową, znaną w takiej czy innej formie od I wojny światowej, ale występującą w ostrej postaci wśród ocalałych z hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Profesor wyjaśnił mi, że w ich wypadku przystosowanie do normalnego życia może trwać nawet trzydzieści–czterdzieści lat – albo w ogóle nie nastąpić. Zawsze też wymaga wielkiego wysiłku fizycznego i emocjonalnego. Bastiaans odkrył, że ci ocalańcy, którzy wydają się dobrze przystosowani, w rzeczywistości do maksimum wykorzystują swoje emocjonalne mechanizmy obronne. Wielu staje się introwertykami – „jak gdyby przebywali w wewnętrznym obozie koncentracyjnym”. Obawiają się otworzyć bramy tego obozu, więc nieustannie i w samotności przeżywają męczarnie. Rodzina, przyjaciele, nawet lekarze zazwyczaj uważają, że doszli do siebie po tamtych doświadczeniach, a ich „normalne” życie jest właśnie takie, jakim się wydaje – fikcja wygodna dla wszystkich, czasami także dla samego ocalałego.

Musiało minąć sporo czasu, zanim świat medyczny odkrył, że ocalali z obozów w rzeczywistości karmią się rezerwami emocjonalnymi, które zazwyczaj okazują się niewystarczające, by czerpać z nich przez całe życie. Wiele lat po Zagładzie nagle zaczynają chorować fizycznie lub psychicznie – albo popełniają samobójstwo. Terapia Bastiaansa miała zapobiegać temu ostatecznemu wyczerpaniu.

W początkach lat sześćdziesiątych Bastiaans zaczął w leczeniu pacjentów stosować LSD. Na wygłoszonym w Jerozolimie wykładzie przyznał, że bardzo powoli uczył się stosowania tego narkotyku we właściwy sposób. Można go podawać tylko relatywnie silnym osobom – powiedział – bo inna terapia mogłaby zniszczyć. Odwrotnie niż te narkotyki, które usypiają pacjentów i stępiają ich zmysły, LSD wyostreza świadomość, przywołuje dawne przerażenie i zmusza pacjentów do ponownego doświadczania przeżytych tortur. W narkotykowym transie pacjenci mówią, a ich słowa są nagrywane na taśmie, czasami na wideo. Potem nagrania się analizuje. Zazwyczaj potrzeba pięciu lub sześciu seansów, zanim pacjenci nauczą się żyć z dawnymi traumami. Terapia jest kontrowersyjna pod względem medycznym, moralnym, politycznym i prawnym; Bastiaans otrzymał specjalne zezwolenie na stosowanie tej metody dopiero, gdy kilku holenderskich ocalałych z Zagłady wysłało petycję do królowej.

Dinur początkowo odmówił wyjazdu do Lejdy. Żona próbowała go przekonać do terapii Bastiaansa. „Całkowicie rozumiałem jej entuzjazm – pisał. – Cierpiała na skutek empatii; udręka, którą tyle lat w sobie dusiła, zmieniła się teraz w euforię wobec perspektywy mojego zbawienia. Trzymałem ją w ramionach, nie wiedząc, jak wyjaśnić, że profesor Bastiaans nie może mi pomóc. Profesor Bastiaans nigdy nie był w Auschwitz. Nawet ci, którzy tam byli, nie znali Auschwitz. Nawet ci, którzy spędzili tam dwa długie lata, jak ja”. Żona jednak nie przestawała go przekonywać.

Poznali się w 1947 roku, po opublikowaniu *Salamandry*. Nina Aszerman, córka znanego lekarza, przeczytała tę książkę jako nastolatka. Treść wywarła na niej tak potężne wrażenie, że postanowiła odszukać piszącego pod pseudonimem autora. Dinur nieco wcześniej przeprowadził się do Tel Awiwu; mieszkał tam w ciemnej suterenie, ale większość dni, a często i nocy, spędzał na ławce w alei Rotschilda. Jakoś go odnalazła – i zakochała się. Miała poczucie misji, wyjątkowe wówczas w kraju, ponieważ większość członków jej pokolenia starała się raczej unikać ocalałych z Zagłady, a nawet patrzyła na nich z góry.

Nina-Elia („Nike”) Dinur, poetka, przeżyła z mężem trudne lata. „Nigdy nie zapomnę, jak cierpiała w milczeniu podczas moich koszmarów, ukrywając własne uczucia – pisał. – Budziłem się, krzycząc, rozpalony, spocony. Nike u mego boku osuszała mój straszny pot ręcznikiem, patrząc oczyma pełnymi niewypowiedzianego strachu i współczucia”. Nike pisała: „I wciąż nie zgadzałeś się powiedzieć mi swego imienia”. Cierpiał także ich dzieci; córka Daniela powiedziała mi: „Raz w roku, w Dzień Pamięci o Zagładzie, pokazują w telewizji film, jak mdleje podczas procesu Eichmanna. Stałam się córką tego, co mdleje. A dzieci w klasie mojej córki mówią jej: «Twój dziadek zemdleł», jakby to było wczoraj”.

W końcu zgodził się pojechać. W manuskrypcie opisał pięć sesji, jakie przeszedł w Lejdzie. Leżał nago, przykryty prześcieradłem; Bastiaans siedział obok, uspokajając go, a potem wstrzyknął mu LSD. Dinur zapadł w trans, podczas którego mówił po angielsku, czasami po hebrajsku. W wizjach widział kolegę z tego samego baraku, bitego w nagie pośladki, aż umarł. Widział innego kolegę, który żył tylko dlatego, że w swoim nieszczęściu służył esesmanom za błazna. Żył, znaczy się, dopóki nie pokryli jego twarzy galaretką i nie wezwali głodujących więźniów, by ją zlizali. Tysiąc więźniów rzuciło się na niego i w kilka sekund zamieniło w wielką masę rąk, nóg i ust, nawzajem się gryzących i liżących. Niemcy pokładali się ze śmiechu. Na ziemi zostało skrwawione ciało, pogryzione jakby dobrały się do niego myszy. Widział też, jak esesman morduje chłopca, który był ofiarą jego seksualnych perwersji. Opiekał ciało chłopca na rożnie i zjadał mięso kawałek po kawałku. Dinur widział swoją siostrę Danielę wśród obozowych prostytutek; widział swoją matkę, stojącą nago wraz z innymi w kolejce do gazu, i widział dym unoszący się nad krematorium. Widział siebie samego podczas „selekcji” doktora Mengele, gdy hitlerowski lekarz lekkim ruchem palca wskazywał tylko, kto będzie żyć, a kto ma umrzeć; kilkakrotnie wybrano go do życia. Miał psychodeliczne wizje, przypominające obrazy Salvadora Dalego. Widział anioły i demony. Widział Boga, zielonego, różowego i żółtego. Widział także „króla tego świata” – chmurę w kształcie grzyba po wybuchu atomowym. Torturowały go koszmary i wizje i torturowała go zagadka jego tożsamości: kim jest Kacetnik, a kim Dinur?

Przeszłość ścigała go, nawet gdy narkotyk przestał działać. Dwa dni przed drugą sesją poszedł na plażę, czując się jak skazaniec przed egzekucją. Był to szczyt sezonu turystycznego. Większość turystów pochodziła z Niemiec Zachodnich. „Zauważyłem grupę wesołych młodych niemieckich turystów, których piersi i ramiona pokrywały dziwaczne tatuaże” – napisał.

Rozbawieni i zafascynowani przyglądali się zwykłemu, wykonanemu bez ozdobników numerowi, który zauważyli na moim przedramieniu. Taki zwykły niebieski numer był dla nich nowością, wpatrywali się więc jak zahipnotyzowani, starając się zrozumieć, co on oznacza. W końcu jeden z nich podszedł do mnie.

Krew tętniła mi w żyłach. Tego dnia po raz pierwszy nie zakryłem numeru na przedramieniu. Przez trzydzieści lat, od kiedy wytatuowano mi go na ciele, zawsze pilnowałem, by obcy go nie widzieli. Od trzydziestu lat nie miałem w szafie koszuli z krótkim rękawem. Nigdy nie nauczyłem się żyć z tymi sześcioma cyframi, wypalonymi na moim ciele i duszy. Do dzisiaj nie znam tego numeru na pamięć – muszę popatrzeć na rękę. Co więcej, w wyniku tej traumy mój mózg nie jest w stanie zapamiętywać liczb.

Dopiero na plaży w Noordwijk w końcu wystawiłem numer na słońce. Być może byłem w stanie to zrobić, bo nikt mnie tu nie znał. To nie Izrael, gdzie każdy uczeń wie, co znaczy zwykły niebieski numer na czyimś ramieniu, wie, gdzie ta osoba była. Jestem pewien, że nie kryłem numeru ze wstydu ani z poczucia winy. Absolutnie nie. Więc dlaczego? To wie tylko Szatan i Auschwitz. A tam, w Noordwijk, gdzie mój mózg szykował się do uwolnienia mego życia od tego przekleństwa, że wszystkich możliwych narodowości pojawił się właśnie Niemiec i stał nade mną, wpatrując się w numer na moim przedramieniu i mamrocząc. Nie słyszałem go, nie widziałem otoczenia. Wiedziałem, że lada moment zdarzy się coś strasznego. W głębi mnie budziła się wściekła bestia, gotowa wbić pazury w gardło stojącej nade mną istoty. Skoczyłem na równe nogi, wykrzykując przekleństwa, i uciekłem.

Wciąż widzę uśmiechniętą twarz tego młodego Niemca, dla którego tatuaż na mojej ręce był tak zwyczajny i dlatego tak wyjątkowy. Ciekaw jestem, czy następne pokolenie uzna mój udział w historii Niemiec za zwyczajny, a zarazem wyjątkowy.

W jednym z późniejszych transów zobaczył siebie w mundurze esesmana. Na głowie miał czapkę z trupią czaszką; pojął wtedy „najstraszniejszy ze wszystkich horrorów” – że jako istota ludzka miał swój udział w winie. Najwyraźniej tego właśnie nauczył się w Lejdzie: esesman, który wysyłał go do pieca, mógł być Dinurem, ale także Dinur mógł być esesmanem. Zwrócił się więc do Boga: „Panie, litościwy i miłosierny Panie, czy to ja, czy to ja stworzyłem Auschwitz?”

Pewnego dnia zrozumiał, że jego praca z Bastiaansem dobiegła końca. Przerzucił most między Kacelnikiem a Dinurem: leczenie w Lejdzie uświadomiło mu, że Kacelnik jest Dinurem, a Dinur Kacelnikiem, tą samą osobą. Auschwitz nie leżał na innej planecie, ale na tym świecie; był dziełem człowieka. Zostawił „inną planetę” za sobą w Lejdzie. Ciemne piekło Auschwitz było koszmarem należącym do przeszłości. Był w stanie spać; wspomnienia przestały go torturować nocami, męczące wizje trwały natomiast w dzień. Już nie przeszłość go dręczyła, tylko przyszłość: obawa przed zagładą atomową. „Gdziekolwiek są ludzie, tam jest i Auschwitz – pisał. – Bo to nie Szatan stworzył Auschwitz, tylko ty i ja, tak samo jak nie Szatan stworzył [atomową] chmurę w kształcie grzyba, ale ty i ja. Człowiek!”. Niby król Saul w Endorze udał się do Bastiaansa, by uzyskać wyjaśnienie nocnego Auschwitz. Gdzie może się udać teraz, by uzyskać wyjaśnienie Auschwitz dziennego?

Musiał minąć dziesięć lat, zanim był w stanie spisać historię z Lejdy; napisał ją w dwa i pół tygodnia, tak samo jak *Salamandrę*, swoją pierwszą książkę-świadek. Gdy mi pokazywał rękopis, wciąż nie był zdecydowany. Być może odłoży go na półkę – powiedział mi, bo ostatecznie

kto pozwolił mu być prorokiem na tym świecie? Być może lepiej będzie go spalić. Dwukrotnie palił *Dom lalek*, zanim zdecydował się na publikację. W końcu jednak postanowił opublikować *Cofen: EDMA*. Gdy książka się ukazała, Kacetnik zrobił coś, co przedtem było niewyobrażalne – zgodził się udzielić długiego wywiadu w telewizji.



Historia bolesnej konfrontacji Izraela z Zagładą, tak samo jak dzieje Kacetnika, jest opowieścią o niepewnej tożsamości. Wizja Zagłady, jaką stworzyli sobie Izraelczycy, ukształtowała ich koncepcję samych siebie; równocześnie zmieniający się obraz siebie samych zmienił ich pogląd na Zagładę i zrozumienie jej znaczenia. Opowieść Kacetnika jest symboliczna, ale tak samo jak ona dzieje narodu zawierają w sobie wielki ludzki dramat – wyparcia i uznania, a potem pełnego udręki zagłębiania się w wynikającą z przeszłości naukę.

Siódmy milion przedstawia ten poszerzony obraz. Poczynając od reakcji syjonistów na rosnące znaczenie narodowych socjalistów w Niemczech i przybycie stamtąd pierwszych imigrantów, dokumentuje nacechowany brakiem współczucia stosunek żydowskiej społeczności w Palestynie do wymordowania europejskich Żydów, a potem pierwsze, trudne i pozbawione zrozumienia spotkania tej społeczności z ocalałymi z Zagłady.

Po wojnie kwestię unicestwienia Żydów okrywało wielkie milczenie. W następnych latach naród przeżywał konflikty moralne i polityczne – w tym bolesną debatę na temat stosunków z Niemcami – które powoli doprowadziły Izraelczyków do uświadomienia sobie głębszego znaczenia Zagłady. Proces Adolfa Eichmanna był dla społeczeństwa izraelskiego rodzajem terapii i rozpoczął proces identyfikacji z tragedią ofiar i ocalałych, proces, który trwa po dziś dzień.

Najbardziej brzemiennie w skutki decyzje w historii Izraela, poza samym powstaniem państwa – czyli masowa imigracja w latach pięćdziesiątych, wojna sześciodniowa i projekty nuklearne – podejmowano w cieniu Zagłady. Byli tacy, którzy zniekształcali dziedzictwo Zagłady, czyniąc zeń dziwaczny kult pamięci, śmierci i kiczu. Inni je wykorzystywali, igrali z nim, zarabiali na nim, popularyzowali i upolityczniali. W miarę jak Zagłada przechodzi do coraz odleglejszej historii, wnioski z niej płynące stają się argumentami w zacieklej walce o kształt współczesnej polityki, ideologii i moralności. *Siódmy milion* zajmuje się tym, w jaki sposób gorzkie doświadczenia przeszłości wciąż kształtują życie narodu. Zagłada nadała zbiorową tożsamość sześciu milionom ofiar, ale także ukształtowała zbiorową tożsamość nowego kraju – nie tylko ocalałym, którzy przyjechali tu po wojnie, ale wszystkim Izraelczykom, wówczas i obecnie. Dlatego właśnie nazwałem ich siódmym milionem.